

Ł

AGNIESZKA
MARKOWSKA

CZAS
NIEPOGODY



KIEDYŚ NIE BALIŚMY SIĘ PRAGNAĆ

Ł



Copyright ©
Agnieszka Markowska
Wydawnictwo NieZwykłe
Oświęcim 2020
Wszelkie Prawa Zastrzeżone
All rights reserved

Redakcja:
Katarzyna Moch
Korekta:
Anna Powązka
Edyta Giersz
Redakcja techniczna:
Mateusz Bartel
Projekt okładki:
Agnieszka Zawadka

www.wydawnictwoniezwykle.pl

Numer ISBN: 978-83-8178-396-5

AGNIESZKA MARKOWSKA

**CZAS
NIEPOGODY**

OŚWIĘCIM 2020

PROLOG

Kiedyś nie baliśmy się pragnąć.

Jako lud zrodzony ze światła nieustannie ulegaliśmy zmien-
nemu rytmowi dnia. Chętnie wpatrywaliśmy się w chmury,
poddawaliśmy delikatnym pieszczotom wiatru, celebrowaliśmy
wschody i zachody słońca. Kiedy z nieba siał deszcz, płakali-
śmy ogarnięci przemożnym smutkiem, a świat skryty pod paję-
czą osnową mgły wprowadzał nas w głęboką zadumę. Błyskawice
rozdzierające tłuste, smoliste obłoki nie budziły naszego lęku,
lecz uczyły, że nawet najpiękniejsze zjawisko ma swoją drugą,
ciemniejszą stronę. Byliśmy dziećmi słońca i chmur, deszczu
i mgły, wiatru i błyskawic.

Ale nie dziećmi nocy.

Stąpając po ziemi skapani w ożywczym blasku słońca, po-
nad wszystko wystrzegaliśmy się ciemności. Nie ufaliśmy zło-
wroźbnemu sierpowi księżyca ani srebrzystemu pyłowi gwiazd
zdmuchniętemu na atramentowy płaszcz nieba. Ofiarowane
przez nie światło było zupełnie różne od przyjaznych objęć dnia.
Przyciągało oko, nęciło zmysły, szeptało o tajemnicach, których
nie znała ognista tarcza słońca. Co noc obiecywało, że nam je
zdradzi, jeśli zgodzimy się na nie spojrzeć. Bardzo długo opiera-
liśmy się tej pokusie.

A jednak nic nie trwa wiecznie.

Z czasem spowszedniały nam obserwacje nieba. Znużyło
śledzenie powolnej wędrówki obłoków, wiatr łaskoczący skó-
rę. Przejadło się bicie pokłonów przed płonąca kulą pograżoną
w tej samej, żmudnej wspinaczce, co zawsze. Nasze niewinne,
złaknione uniesień dusze obumierały w szarudze codzienności.

Coraz tęskniej wyglądaliśmy za nocą w nadziei, że to właśnie ona przywróci nam dawny blask. Wypełni pustkę w duszach, ujawni nowe cuda, których widokiem będziemy mogli znów się zachłysnąć. Które przypomną nam, jak to jest czuć i smakować chwilę. Jak cieszyć się życiem.

Wreszcie wyszliśmy do Pani Nocy, by zdradziła nam swoje sekrety. Zesłała nam sny tajemnicze jak gwiazdy i piękne niczym światło księżyca odbite w tafli jeziora. Nauczyła, jak marzyć, a potem te marzenia urzeczywistniać. Podarowała nam magię.

Opanowanie magii przyszło nam nadzwyczaj lekko. Zasklepiła pustkę w naszych duszach, dopasowała się do nich, jakby była tam od zawsze. Nagle zrozumieliśmy, że nie musimy już oddawać nikomu czci. Że sami możemy kształtować świat, czyniąc cuda równie zjawiskowe, co te oferowane przez naturę. Spętaliśmy więc słońce i chmury, deszcz i mgłę, wiatr i błyskawice. Poczuliśmy, jak to jest mieć coś na własność. I spodobało nam się to.

Pani Nocy była jednak podstępna. Od zarania dziejów toczyła bój z Panem Światła, a nie mogąc zwyciężyć, robiła to, co umiała najlepiej. Obdarowując nasz lud mocą zdolną ujarzmić pogodę, skazała go na powolny upadek. Magia była niczym najśłodszą trucizną, która mimo swego zabójczego działania nieustannie zaostrzała apetyt na więcej. My, Świetliści, zatraciliśmy się w niej, nie zauważając, kiedy do naszego świata wdarły się inne, nie tak łatwowierne istoty. Dzieci Pani Nocy, wyrachowane twory zrodzone z mroku i zimnego blasku księżyca.

Nazywaliśmy ich Tkaczami Nocy bądź Kroczącymi wśród Snów. Mieli ciemne, atramentowe skóry przywodzące na myśl nocne niebo, włosy blade jak księżyc i srebrne niczym pajęcza sieć. Przemierzali nasze sny, podsycali najgłębiej skrywane lęki, szeptali, by pragnąć więcej, bardziej, mocniej. Drzemiąca w naszych duszach magia wabiła ich do siebie jak ćmy, a wyjątkowa namiętność Tkaczy stała się dla mojego ludu kolejnym po nocy obiektem fascynacji. Kroczący wśród Snów i Skapani w Świetle

przypadli sobie do gustu tak bardzo, że nawiązywały się nowe, dość płomienne, niekiedy wręcz straszliwe sojusze. Świetliści nierozważnie wchodzili w relacje z Tkaczami, ofiarowując im swoją magię w zamian za ochronę. Podobne związki stawały się coraz powszechniejszą praktyką.

Wypaczona natura dzieci światła w końcu zaczęła powodować konflikty. Podjudzani przez swoje mroczne odpowiedniki stawali się paranoiczni, chciwi i pożądlivi. Notorycznie odgradzali się od braci, podejrzewali o nieczyste intencje, wyrzynali w brutalnych sporach o terytorium. Nasz świat ulegał coraz wyraźniejszym podziałom, na czoło wysuwali się kolejni liderzy. Tak powstały Enklawy Słońca, Chmur, Deszczu oraz Błyskawic.

Ale podział władzy wcale nie stłumił konfliktu. Jedyne bardziej zaognił sprawę. Drogi Skąpanych w Świetle oraz Kroczących wśród Snów schodziły się i rozchodziły, dzieląc mój lud na tych, którzy trwali w pasożytniczych układach z Tkaczami oraz tych, którzy robili, co mogli, by ich uniknąć. Tymczasem napięcie między Enklawami rosło. Kiedy przywódcy Błyskawic i Deszczu zjednoczyli siły pod wspólnym sztandarem Burzy, Najwyższa Kapłanka Enklawy Słońca wypowiedziała im wojnę. W obawie, że Burza zjedna sobie Chmury, podbiła ich siedzibę i zdetronizowała tamtejszą kapłankę, obwołując się władczynią pogody.

W całym tym chaosie byliśmy jeszcze my, niepogodni. Mieszkańcy zbyt słabi, by stanowić jakiegokolwiek zagrożenie, sieroty, odrzutki oraz ludzie, którzy świadomie odcinali się od magii, uznając ją za największą skazę tego świata. Niepogodni wierzyli, że aby zadośćuczynić za grzechy, muszą chronić się przed Tkaczami, zapobiegać snom i wznosić modły ku Panu Światła, a Najwyższa Słońca te dążenia poparła. Wkrótce też powołała do życia Zakon Inkwizytorów, którego zadaniem było strzec bezpieczeństwa enklawy i polować na Tkaczy Nocy, by wytępić ich rodzaj raz na zawsze.

Niektórzy mawiali, że nastały ponure czasy. Nie miałam powodów, by im nie wierzyć, choć sama patrzyłam na to raczej jak na przejściowe zachmurzenie.

Czas niepogody, po którym wszędzie słońce.

ROZDZIAŁ 1

Siedziałam w kaplicy, cierpliwie oczekując nadejścia świtu. Większość akolitek dopiero wychodziła z łóżek i wiedziałam, że nie postawią tu stopy tak długo, póki pierwsze promienie słońca nie padną na szklane witraże, racząc komnatę ciepłym, złocistym blaskiem.

Półmrok panujący w pomieszczeniu nie robił na mnie żadnego wrażenia. Uparcie wpatrywałam się w stojący przede mną ołtarz z wizerunkiem słońca, jakby wyłącznie od tego zależało, czy jego tarcza w ogóle wzejdzie. Wątpiłam co prawda, by moja skromna obecność zmieniała coś w odwiecznym pojedynku dnia i nocy, lecz lubiłam pocieszać się myślą, że wsparcie okazywane Panu Światła nadaje owej walce większego sensu.

Każdy niepokodny czekał na ten moment. Na chwilę, w której potęga słońca przewycięży ciemności, a magia kalająca nasze dusze wreszcie odejdzie w zapomnienie. Kiedyś Pan Światła wybaczy swoim dzieciom to, że uległy podszeptom Pani Nocy. Jako świeżo upieczona akolitka w Jego służbie wierzyłam w to szczególnie mocno.

W końcu światło wygrało. Przedarło się przez okna i wlało do środka, rozświetlając nieskazitelnie białą powierzchnię ołtarza, aż musiałam zmrużyć oczy. Kiedy promienie zetknęły się z wyrytą na płycie podobizną słońca, otworzyłam usta i zaczęłam śpiewać najczystszy głosem, na jaki było mnie stać:

Niech blask odeгна ciemności,
a noc ulegnie pod dniem,
księżycem słońce zawładnie
i dobro zwycięży nad złem

Wybacz nam, Panie Światła,
do ciebie zwracamy się,
gdy Pani Noc precz odejdzie,
a dobro zwycięży nad złem

Pozwoliłam, by mój śpiew rozlał się po całej kapliczce jak światło, wypełnił każdy jej kąt. Jak urzeczona podziwiałam subtelną grę światła, nie mogąc powstrzymać wkradającego się na usta uśmiechu. Kiedy ciemność zniknęła na dobre, cicho podniosłam się z ławy i wyszłam na zewnątrz, gdzie czekała moja zniecierpliwiona przyjaciółka.

Rhianna opierała się o ścianę, nucąc pod nosem sprośną melodię, której na pewno nie podchwyciła ode mnie. Pokręciłam głową, zastanawiając się, z kim tym razem przyszło jej spędzić noc bądź włóczyć się do bladego świtu, byleby nie wracać do przytułku. Ostatnio robiła to szczególnie często, zupełnie jakby zatrzymanie się w miejscu i zastanowienie nad sobą było równoznaczne ze śmiercią. Wątpiłam, by kiedykolwiek miała dorosnąć. Tymczasem ja uspokoiłam się, spoważniałam i zostawiłam za sobą dziecięcą bez troskę. Wiedziałam, że dla ludzi takich jak Rhianna brzmiało to przeraźliwie nudno, ale jako akolitka i kandydatka na jedną z Sióstr Jutrzenki nie mogłam pozwolić sobie na żadne wybryki.

Niestety moja przyjaciółka zdawała się tego nie rozumieć. Odkąd matka przełożona zakonu w końcu doceniła moje starania i pozwoliła mi do niego wstąpić, Rhianna nie dawała mi żyć. Nieustannie drwiła z wiary w Pana Światła, przedrzeźniała inne akolity, marudziła i stękała. Słowem – robiła wszystko, co mogła, by odwieść mnie od złożenia ślubów.

Zupełnie jakby to miało stać się jutro.

Kiedy stanęłam w progu kaplicy, Rhianna odbiła się od ściany i z prychnięciem odrzuciła białe włosy na plecy. Oparła rękę o biodro, jakby stawiała mi wyzwanie.

– Jeszcze się nie znudziłaś? – spytała, unosząc brew. – Słowo daję, odkąd te akolityki przyjęły cię w swoje świątobliwe szeregi, strasznie jesteś porządnicka. – Przybrała smutną, godną pożałowania minę, lecz w kąciku jej ust zamajaczył uśmiech. – Pewnie niedługo całkiem zapomnisz o biednej, samotnej Rhiannie!

Westchnęłam i spojrzałam na nią, jakby była niespełna rozumu. Starła się pozować na wyluzowaną, ale widziałam, jak bardzo jest spięta. Znałyśmy się stanowczo zbyt długo, by zmyliło mnie to dogryzanie. Po latach spędzonych w przytułku byliśmy dla siebie jak siostry.

– Daj spokój, Rhi. Gadasz głupoty. – Posłałam jej ciepły uśmiech.

– No nie wiem. Czy widziałaś, żeby jakakolwiek akolityka zadawała się z mieszanicem?

Rozważyłam jej słowa. Wiedziałam, że ma rację, ale gdybym to przyznała, odniosłaby zwycięstwo. Chodziło tu nie tyle o samych mieszaniców, co o fakt, do jakiego rodzaju mieszaniców należała Rhianna. Sama byłam córką Świetlistych pochodzących z dwóch różnych Enklaw, ale podobne związki, choć niezbyt lubiane, nie budziły większego zaskoczenia.

Inaczej sprawa miała się z tymi, których podejrzewano o związki z Tkaczami Nocy.

Białe włosy Rhianny oraz jej szara skóra zdradzały, że musiała mieć w rodzinie Tkacza. Czystej krwi Kroczących wśród Snów rozpoznawano po granatowych skórach, a mieszaniców – sinych lub niebieskawych. Jeśli komuś wystarczająco się poszczęściło, a Tkacz był jego dalszym przodkiem – nie odstawał wyglądem od Świetlistych. Niestety najczęściej dziedziczyło się po nich przynajmniej siwe włosy.

Nawet jeśli Rhianna nie utrzymywała kontaktów z rodziną ani nie czuła się Tkaczką, ten nieszczęsny kolor skóry był w oczach ludzi jak wyrok. Nieraz proponowałam jej, by przeniosła się do Enklawy Burzy, gdzie takich jak ona nie wytykano

palcami. Rhianna nie zamierzała jednak iść na łatwiznę. Zawsze powtarzała, że odrobina pogardy dobrze robi człowiekowi na duszę, chociaż domyślałam się, co za tym stoi. Po prostu nie chciała zostawiać mnie samej.

– Tak – odparłam z przekonaniem. – Znam taką jedną. Ma na imię Sarune.

– To nie jest śmieszne, Sar. – Rhianna przewróciła oczami i złożyła ręce na piersi.

– Może i nieśmieszne, ale przynajmniej prawdziwe.

Spojrzałyśmy po sobie i uśmiechnęłyśmy się. Przyznam, że było w tym coś, co chwyciło mnie za serce. Nie potrafiłam stwierdzić, czy spowodował to widok jej szczerze rozpromienionej twarzy, czy świadomość, że wkrótce pewien rozdział mojego życia zostanie bezpowrotnie zamknięty. To znaczy o ile mnie awansują.

– Przemyśl to jeszcze. Mówię poważnie. – Pogroziła mi palcem. – Anselm też przeszedł na stronę światła i jak na tym wyszedł, hę? Zupełnie jakby członkostwo w Inkwizycji wymagało wetknięcia sobie kija w tyłek.

Zmrużyłam oczy. Dziwne, że wspomniała akurat o Anselmie. Niegdyś nasza trójka była nierozłączna, ale chłopak okazał się na tyle obiecujący, że oddano go pod skrzydła inkwizytorów. Ja za nim tęskniłam, Rhianna nie. Nigdy nie należał do jej ulubieńców.

– Czekaj, czekaj. Znam tę minę. Nie przyszłaś tu tylko dlatego, że się stęskniłaś, prawda? – spytałam, bawiąc się złotą obręczą na szyi.

Rhianna wzruszyła ramionami i przekrzywiła głowę, spoglądając na mnie z miną niewiniątka. Nigdy nie posądzałam jej o niewinność, więc oczywiście stało się, że diablica coś knuje. Albo ma do przekazania wieść, która zatrzęsie moim światem w posadach.

Czekałam, czekałam... i nic. Uśmiechała się głupkowato, pogwizdywała i grzebała butem w ziemi, jakby jeszcze przed chwi-

lą wcale nie dała mi powodu do zmartwień. Ewidentnie grała na zwłokę, żeby mnie zdenerwować, ale ja byłam ponad te dziecinne gierki. Wyprostowałam się dumnie, wygładziłam szatę i ruszyłam naprzód, by wyminąć przyjaciółkę.

– Ptaszki ćwierkają, że pewien przystojny inkwizytor niedługo zawita do naszej wioski – rzuciła, wprawiając mnie w osłupienie. Zatrzymałam się i zamrugałam, niepewna tego, czy chcę usłyszeć ciąg dalszy. – Jak sądzisz, kogo odwiedzi najpierw?

Poczułam, jak moje policzki oblewa rumieniec. Nagle zrobiło mi się bardzo, bardzo gorąco.

Przeklęta Rhianna doskonale wiedziała, gdzie uderzyć.

– Nie wiem, co masz na myśli – bąknęłam, dotykając rozgrzanej twarzy. Nie odwróciłam się, a jednocześnie modliłam, by nie zostać nakryta. Oczywiście wyobraźni widziałam już, jak Rhianna staje naprzeciw, patrzy na moje rumieńce i wytyka je palcem do wtóru głośnego, perlistego śmiechu. Na samą myśl się wzdrygnęłam.

– Najważniejsze, że ja wiem – odparła melodyjnie. Słyszałam jej kroki, sprężyste i lekkie jak zefir, kiedy była coraz bliżej. Wkrótce moje łęki miały się urzeczywistnić. – Nie jestem ślepa, Sar. Nieważne, ile razy Anselm wpada tu ze swoimi rycerzami, zawsze musi zakręcić się koło ciebie. A te jego powłóczyste, tęskne spojrzenia... Mmm, nawet nie zdajesz sobie sprawy.

Zadrżałam. Wcale nie chciałam słuchać tych wynurzeń, ale gdybym tylko okazała rozdrażnienie, Rhianna rozkręciłaby się na dobre. Potrafiła być równie kochana, co nieznośna. A kiedy już wbiła sobie coś do łba, nic nie mogło jej powstrzymać.

– Nawet gdyby tak było, oboje mamy zbyt dużo obowiązków, by...

– Sar, Sar, Sar. – Rhianna zacmokała. – Uwielbiam, jak zaprzeczasz rzeczywistości. Anselm ma do ciebie słabość, nie uciekniesz przed tym. On zresztą też nie jest ci obojętny.

Umilkłam przytłoczona prawdą płynącą z ust przyjaciółki. Anselm faktycznie widywał się ze mną, ilekroć nadarzała się okazja. Jeszcze do niedawna żyłam w błogiej nieświadomości,

tłumacząc sobie, że zainteresowanie Anselma to wytwór bujnej wyobraźni Rhianny. Doceniałam serdeczność i szacunek, jakimi obdarzał mnie na co dzień, lecz nigdy nie dopatrywałam się w tym czegoś więcej, a wręcz – nie chciałam się dopatrywać.

Z czasem otworzyłam oczy. Anselm nigdy nie ukrywał, że mnie lubi, ale odkąd oboje podrośliśmy, a on stał się mężczyzną, pomiędzy nami powstało prawie namacalne, trudne do zniesienia napięcie. Wbrew temu, co sądziła Rhianna, zauważałam to, w jaki sposób na mnie patrzył. Czułam każde niby przypadkowe muśnięcie ręki czy przyjemny, głęboki tembr głosu, na dźwięk którego nogi ugiwały się pode mną, jakby były zrobione z waty.

Doceniałam zainteresowanie Anselma i coraz częściej przyłapywałam się na tym, że myślę o nim jak o kimś więcej niż przyjacielu z dzieciństwa. Niestety kłóciło się to z moim marzeniem. Jako potencjalna Siostra Jutrzenki nie mogłam pozwolić sobie na związki, a burzliwe, pełne niebezpieczeństw życie inkwizytora nie sprzyjało relacjom dłuższym niż na jedną noc.

– To bez znaczenia – odparłam najspokojniej, jak potrafiłam. Upewniwszy się, że zapanowałam nad wstydem, sama odwróciłam się do Rhianny i zmierzyłam ją wzrokiem. – Powiedz mi lepiej, czego szukają tu inkwizytorzy. Grozi nam coś ze strony Tkaczy?

– A bo ja wiem? – Wzruszyła ramionami. – Spytaj swoich akolitek, pewnie one coś słyszały. Słowo daję, jak na przyszłe kapłanki i wzór wszelkich cnót straszne z nich plotkary. O, patrz, o wilku mowa! Idą tu – rzuciła konspiracyjnym szeptem i wyszczerzyła się, machając do grupy, jakby była ich serdeczną przyjaciółką. Wszystkie, tak jak ja, miały na sobie kremowe, obszyte na złoto szaty, a na szyjach lśniące obręcze z podobizną słońca.

Entuzjazm Rhianny był zaraźliwy. Dla dobra sprawy ukryłam uśmiech za rękawem szaty i pochyliłam głowę, by powitać siostry akolityki z należytyim szacunkiem. Jak zawsze zignorowały istnienie Rhianny, sunąc przed siebie niczym gromada chmur. Krocząca na czele, niezmiennie poważna matka przełożona zer-

knęła na mnie w milczącym upomnieniu, bym darowała sobie kontakty z przyjaciółką. Nie żebym nie wiedziała, co Alatheia sądzi na temat naszej przyjaźni, ale wykonywałam swoje obowiązki na tyle sumiennie, że nie mogła zarzucić mi nieposłuszeństwa. Z tego względu przymykała oko na naszą relację, choć nie omieszkwała okazywać niezadowolenia przy każdej możliwej okazji.

– Powiedz mi, że nie będziesz taka jak one – jęknęła Rhianna, gdy akolitki zostawiły nas za plecami i zniknęły za drzwiami kaplicy. Wyglądała na autentycznie przejętą.

– Grzeczna, skromna, odpowiedzialna? – spytałam.

– Nudna – odparła z odrazą i skrzywiła się, jakby zjadła coś kwaśnego.

– No cóż, nic nie obiecuję. Ale jeśli jeszcze raz wspomnisz o Anselmie, z miejsca udam się do kaplicy – zagroziłam. Oczy Rhianny niebezpiecznie błysnęły, a ja uznałam, że tylko ją tym zachęciłam. Westchnęłam ciężko i ruszyłam przed siebie, w stronę wioski, gdzie pierwsi mieszkańcy już wynurzali się z domostw, zachęcani wschodzącym słońcem. – Chodź, powłóczymy się trochę. Może ktoś wie coś o inkwizytorach.

– Więcej niż ty? – spytała niedbale, patrząc na paznokcie.

Panie Światła, daj mi siłę, żeby jakoś znieść te perfidne przytyki.



Ludzie rozmawiali z nami chętnie jak nigdy w życiu. Już z od dali przywoływali nas ręką, pozdrawiali i zagajali o to, jak też czuję się w nowej roli. Wstąpienie w szeregi zakonu było rzadkim zaszczytem, a ten w Cesaphere otwierał swoje podwoje wyłącznie przed najbardziej obiecującymi. Matka przełożona miała względem naszej wioski spore ambicje i nie pozwalała sobie przyjmować więcej niż garstki kandydatek. Każda z nas musia-

ła odznaczać się szczerością, posłuszeństwem, czystością ciała i ducha, a przede wszystkim nigdy, ale to nigdy nie dopuszczać do siebie snów. Aby osiągnąć ostatni warunek, aspirujące kapłanki regularnie spożywały specjalną miksturę wytlumiającą sny, a także magię, która je powodowała. Niestety wiązało się z tym trochę nieprzyjemności. Niektóre dziewczęta uskarżały się na przelotne bóle lub złe samopoczucie, ale nie wydawało mi się, aby doświadczały ich tak często jak ja. Oczywiście przy Alathej wszystkie udawałyśmy okazy zdrowia.

Pożegnałam się z kolejną osobą i zerknęłam na przyjaciółkę. Nie była przyzwyczajona do wymiany uprzejmości ani pozdrowień ze strony ludzi. Nie miałam złudzeń, że większość z nich robiła to ze względu na mnie. W wiosce tak małej jak nasza nikt nie mógł cieszyć się anonimowością i doskonale wiedziano, jak bardzo Rhianna jest mi bliska. Choć dzieciństwo zostało daleko za nami, wciąż kojarzono nas jako dwójkę niesfornych skrabów, które przyciągały same kłopoty. Teraz, gdy piastowałam znaczące stanowisko, wszyscy zdawali się dobierać słowa jakby uważniej. Nikt nie chciał narazić się wysłanniczce Pana Światła.

Miałam wrażenie, że życie stało się trudniejsze. Ci, którzy niegdyś otwarcie okazywali niechęć, teraz przybierali maski pozorów. Część z nich była mi dobrze znana, innych ciągle uczyłam się rozpoznawać, ale na palcach jednej ręki mogłabym zliczyć ludzi, którzy wciąż byli wobec mnie najzupełniej szczerzy. Dlatego tak bardzo ceniłam sobie towarzystwo Rhianny.

Zatrzymałam się, zauważając Bertę, wioskową zielarkę, opuszczającą chatę w wielkim pośpiechu. Staruszka zwykle zrywała się z łóżka bladym świtem i udawała na zbiory albo wybywała tam, gdzie akurat jej potrzebowano. Pomagając ludziom, nigdy nie szczędziła sobie opryskliwych komentarzy, ale puszczano je mimo uszu dlatego, że jako jedyna znała recepturę specyfiku zapobiegającego snom. Raz w miesiącu, kiedy goniec z Enklawy Słońca przybywał do Cesaphere z dostawą nowych

składników, zamykała się w chacie i warzyła Insomnium od zmierzchu do świtu. Bywała wtedy szczególnie zgryźliwa.

– Berta! – zawołałam za nią, zastanawiając się, dokąd tak pędzi. Rozmiar tobołka, który ze sobą niosła, wskazywał, że tym razem wybierała się nieco dalej. Kiedy usłyszała mój głos, odwróciła się z wypisanym na twarzy, cierpięcniczym grymasem.

– Sarune. Jakże miło cię widzieć – wymruczała tonem wskazującym na coś zupełnie innego i ruszyła w stronę naszej dwójki, podpierając się laską. Berta nikomu nie zdradzała, ile ma lat, ale nie ulegało wątpliwości, że życie nie obeszło się z nią zbyt lekko. Przynajmniej tak tłumaczyli to sobie wszyscy, którzy padli ofiarą jej szyderstw.

– Kolejne zbiory? Nie byłaś aby na nich wczoraj? – spytałam z uśmiechem na ustach, a Rhianna chrząknęła cicho i odwróciła wzrok od pochmurnego oblicza zielarki.

– Powiedziałaabym, że każda okazja jest dobra, żeby wyrwać się z tej pipidowy, ale nie tym razem. Jakiś kapuściany łeb zwiął mi zapasy Insomnium, więc muszę robić za trzech i liczyć, że do mojego powrotu cała wioska nie zbałwanuje do reszty.

– Ukradziono serum? Co za podłość! – Oburzyłam się. – Kto mógł zrobić coś takiego?!

– Nie wiem, ale jak gagatka dorwę, to mu nogi z...

Rhianna parsknęła cicho i zasłoniła się dłonią. Berta uniosła brwi, a ja otworzyłam usta, posyłając przyjaciółce niedowierzające spojrzenie.

– Rhianna... Tylko mi nie mów, że maczałaś w tym palce.

– Ja? Skądże. Łatwo rzucić oskarżeniami, nie mając żadnych dowodów – odparła lekko, ale zdradzały ją drżące kąciki ust. Nie do wiary, jak mogła śmiać mi się w żywe oczy? Nigdy nie kryła się z pogardą wobec Insomnium, a wręcz sprzeciwiała się mu jako jedna z nielicznych. Nieraz próbowała przekonać mnie, że bym odstawiła serum i otwarcie nazywała je świństwem.

Problem w tym, że gdyby nie to „świństwo”, wielu z nas dawno padłoby ofiarą Tkaczy. Te podłe kreatury uwielbiały nawiedzać ludzi w snach i poznawać ich tajemnice. A od tego niedaleko już do manipulacji.

– Czy... Czy zapasów starczy, żebyśmy... – zaczęłam, choć ledwie panowałam nad głosem.

– Nie bój nic, dziewczyno. – Staruszka poklepała mnie po ramieniu. – Stara Berta raz-dwa wybierze się tam, gdzie trzeba i nawarzy mikstury na zapas. Bylebyście nikomu tego nie rozgadały, bo od razu dostaną szmergla – mruknęła.

Odetchnęłam z ulgą i skinęłam głową. Wszystkim akolitkom starczyło mikstury jeszcze na parę dni, ale później miałybyśmy poważny problem. Ufałam Bercie i byłam pewna, że stanie na wysokości zadania. Co nie zmieniało moich uczuć względem Rhianny. Oczywiście nie mogłam jej niczego udowodnić, ale czułam, że to ona stoi za zniknięciem Insomnium i miałam wobec niej ogromny żal. Sama nie musiała go brać, lecz to nie dawało jej prawa do decydowania za innych. Zupełnie nie pojmowała wagi problemu. Jeden zbłąkany Tkacz wystarczył, by zasiać niezgodę w całej wiosce. Nawet Berta to wiedziała!

– No, wybaczcie staruszce, ale musi już ruszać – powiedziała, poprawiając tobolek. Zastanawiałam się, skąd bierze w sobie tyle energii. Ruszyła naprzód, lecz po chwili zatrzymała się i odwróciła do nas bokiem. – Trzeba przecież zdążyć przed odwiedzinami Najwyższej. – Uśmiechnęła się krzywo i oddaliła zwałym krokiem.

Otworzyłam szeroko oczy i spojrzałam na Rhiannę z niedowierzaniem.

Najwyższa Kapłanka Imszar. Jedyna prawowita Władczyni Pogody i matriarchini Enklawy Słońca tutaj, w naszej skromnej wiosce.

A tam gdzie ona, tam i Siostry Jutrzenki.



Tej nocy czułam się fatalnie. Skóra mi płonęła, a ręce trzęsły się tak, że kompletnie nie mogłam nad nimi zapanować. Zaciśniłam zęby. Podjęłam nierówną walkę z tępym, nieznośnym bólem, który wziął w posiadanie całe moje ciało i ani myślał ustać.

Przysiadłam na łóżku i wyciągnęłam rękę, na ślepo grzebiąc w stojącej przy nim szafce. Otworzyłam szufladę i panicznie rozgarnęłam jej zawartość w poszukiwaniu jednej, jedynej rzeczy, która mogła mi teraz pomóc. Z ulgą wymacałam chłodne szkło ze srebrzystym płynem. Wyciągnęłam buteleczkę z wnętrza szuflady, odkorkowałam ją i wypiąłam duszkiem całą zawartość. Dopiero wtedy odsapnęłam.

Od pewnego czasu moje zdrowie zdawało się sypać. Zaczęło się niepozornie – od przejściowej bezsenności, ale wkrótce dołączyły do niej inne, bardziej dokuczliwe objawy. Nasilały się głównie nocą i mijały z chwilą, kiedy przyjmowałam Insomnium. Jako że serum miało swoje skutki uboczne, starałam się nie uskarżać. Była to cena, jaką płaciłam za bezpieczeństwo nie tylko własne, ale i wszystkich otaczających mnie ludzi.

Leżałam na pościeli, żeby przeczekać najgorsze. Insomnium miało paskudny, gorzki posmak i niemal czułam, jak lodowata ciecz rozchodzi się po moich żyłach, niosąc upragnione ukojenie. Bezwiednie wpatrywałam się w dłonie. Drżały coraz mniej. Kiedy ból stał się jedynie echem, do moich uszu dobiegły szepty z korytarza.

Wstałam, mając wrażenie, że cały świat stał się wariacką karuzelą, na której za wszelką cenę starałam się utrzymać. Otępienie wywołane Insomnium miało trwać jeszcze przez parę chwil, ale stłumione chichoty wzbudzały we mnie dziwny niepokój.

Ruszyłam naprzód, kroczyłam po krocisku, jakbym dopiero uczyła się chodzić. Sunęłam ręką po ścianie, czując jej chropowatą powierzchnię oraz własną klatkę piersiową unoszącą się

w płytkich oddechach. Moje ciało też się unosiło albo tak mi się tylko zdawało.

Stałam w progu. Nie wychylałam się, bo mogłabym zostać zauważona. Uważnie nasłuchiwałam.

– Mówię wam, to nic strasznego – szeptał głos, po którym rozpoznałam Tarę, akolitkę z najdłuższym stażem w zakonie. – Sny są całkiem piękne.

– Opowiedz jeszcze raz, ze szczegółami – prosiła jej koleżanka. Miała ciepłą, miłą dla uszu barwę głosu. Taką mogła mieć tylko Eyla, nasza najmłodsza członkini. Dobra dusza, ale wierzyła we wszystko, co jej mówiono. I tym razem nie było inaczej.

– Pojawiły się znikąd, nawet nie zauważyłam kiedy. Wszystko wydawało się takie piękne, pełne życia i barw. Nie to co tutaj. – Westchnęła. – Alathea zawsze powtarza, że sny to pierwszy krok do zatracenia, ale ja nie czułam się zatracona. Raczej... odnaleziona. Na swoim miejscu. Widziałam nawet rodziców. – Głos zadrżał. – Uśmiechali się do mnie.

– Przecież oni nie żyją – odparła ponuro Annice, grupowy głos rozsądku. To pozwoliło mi nieco się uspokoić. Kto inny, jak nie Annice miałyby sprowadzić dziewczynę na ziemię? Z pewnością zaraz weźmie ją w obroty i każe iść spać.

Cisza. Długie, stanowczo zbyt długie milczenie. Stukot paznokci o ławę.

Dlaczego nic się nie działo?

– Dzięki za przypomnienie, Ann. Może powiesz coś jeszcze o ogniu, warsztacie i...

– Wiesz, że nie to miałam na myśli.

– Ale tak właśnie to zabrzmiało! – Sądząc po trzeszczeniu drewna, dziewczyna poderwała się z miejsca. – Myślisz, że nie pamiętam ich krzyków? Że nie widzę przed oczami ojca, który przebija się przez ścianę ognia? Do dzisiaj czuję na policzkach ten żar. Do dzisiaj!

Przylgnęłam do ściany, bo ja również pamiętałam. Byłam wtedy bardzo mała, trochę młodsza od Tary. Cała wioska zleciała się, żeby ugasić ten pożar. Nikt nie wiedział, co było jego przyczyną, ale ojciec dziewczyny często pracował w kuźni. Być może nie zauważył, jak zbłąkana iskra pada nie tam, gdzie trzeba. A kiedy się zorientował, było już za późno.

Poczułam wstyd. Nie powinno mnie tu być. Nie powinnam stać przyklejona do ściany i podsłuchiwać, kiedy w grę wchodziło coś tak osobistego. Czas wracać do łóżka.

– Nieważne. To wszystko nieistotne. – Pociąganie nosem. Słumiony głos, jak zza rękawa. Płakała. – Nie, kiedy miałam okazję ich zobaczyć. Takich spokojnych, szczęśliwych jak za dawnych lat. Żebyście ich widziały. Stali na tle naszego domu, patrzyli się i uśmiechali. Tak po prostu. Może... Może gdybym zobaczyła się z nimi jeszcze raz...

Tego już było za wiele. Odbiłam się od ściany i przeszłam przez próg, głośno tupiąc. Na mój widok akolitki zamarły. Choć jeszcze przed chwilą było mi głupio, teraz o to nie dbałam. Liczyło się tylko to, o czym mówiła dziewczyna i czego mówić nie powinna.

Nie mogłam uwierzyć w jej naiwność. Nawet jeśli tęskniła, odstawienie Insomnium było najgorszym, co mogła zrobić dla siebie i wioski. Oczywiście, że sny musiały być kuszące, jak inaczej Tkacze zarzucaliby przynętę? Ten kolorowy, obiecujący świat był jedynie wprawką mającą uśpić czujność śniącego. Uczynić go nieostrożnym do tego stopnia, aż przestanie rozróżniać, co jest częścią jego własnych myśli, a co podszeptami Tkaczy.

– Opamiętaj się, Tara! – syknęłam, porządnie ją pesząc. – Sny to grzech, a gdyby nie magia, nasi ludzie wciąż byliby zjednoczeni. Poddając się pokusie, pokazujesz jedynie, że toczymy naszą walkę na próżno. Tego właśnie chcesz? Kolejnych ofiar? Bo jeśli zupełnie odstawisz Insomnium, jakiś Tkacz na pewno w końcu tu przyjdzie.

Tara skuliła się w sobie. Eyla i Annice wyglądały na zażenowane własną ciekawością. Jedna miętosiła szatę dłońmi, a druga siedziała sztywno, gapiąc się w ścianę. Nie wyglądało na to, by miały coś do powiedzenia. Cała sytuacja była już dostatecznie niezręczna.

Nie byłam miła, owszem, ale należało ustawić dziewczynę do pionu. Stanowiła zagrożenie dla wszystkich w okolicy, w tym również dla samej siebie. Nawet najkrótszy sen zasiewał w człowieku ziarno niepewności, a dla akolitki oznaczało to natychmiastowe wykluczenie z zakonu. Ten zaś był dla Tary jedynym, którego mogła nazywać domem.

– Lepiej idźcie spać, zanim postanowię wspomnieć o tej rozmowie Alathej. Ale jeśli zauważę, że nie bierzecie Insomnium, będę zmuszona na was donieść – dodałam, choć czułam się podle. Było mi żal tej dziewczyny, jej rodziców oraz tęsknoty tak niewyobrażalnej, że aż przysyłającej niebezpieczeństwo. Jak mogłabym na nią naskarzyć?

Akolitki wstały z ławy i rozeszły się, posyłając mi niepewne spojrzenia. Być może spodziewały się, że i tak zrobię swoje, ale wbrew wszystkiemu zamierzałam dotrzymać słowa.

Kiedy wróciłam do pokoju, by położyć się spać, z niepokojem odkryłam, że zostało mi tylko siedem fiolek Insomnium. To dało równy tydzień względnego spokoju. W teorii.

Pozostawało wierzyć, że zielarka uwinie się z pracą.



Czas upływał niepostrzeżenie i wkrótce nie tylko ja zaczęłam się martwić. Berty ciągle nie było, zasoby Insomnium topniały w zastraszającym tempie i nawet matce przełożonej zdarzało się podnieść głos, kiedy coś nie szło po jej myśli. Sama coraz częściej zerkałam na dno szuflady, odliczając szklane buteleczki, aż z siedmiu zrobiły się cztery. Podczas gdy reszta kandydatek

pocieszała się, że to dużo, ja zastanawiałam się, jak przetrwam kolejną noc.

Pochmurne nastroje akolitek odegnał nieco przyjazd inkwizytorów. Wszystkie dziewczęta wyszły gościom naprzeciw i podziwiały sznur koni z opancerzonymi jeźdźcami na grzbietach.

Niektórzy witali się z tłumem kiwnięciem głowy, a co pewniejsi siebie nawet uśmiechem spod odsłoniętej przyłbicy hełmu. Akolitki machały do nich i wdzięczyły się, jakby śluby czystości dotyczyły kogoś innego. Nie mogłam ich winić. Sama przecież uwikłałam się w coś, z czego trudno będzie się wyplątać. Uświadomiłam to sobie z chwilą, w której Anselm zszedł z siwego walcza, by się ze mną przywitać.

Skuliłam się w sobie, bo zaraz osaczyły mnie podejrzliwe spojrzenia sióstr akolitek. Tymczasem Anselm stanął naprzeciw, zdjął hełm i przytrzymał go pod ręką. Włosy przystrzyżone na wojskową modłę i drobna bródka dodawały mu charakteru.

– Witaj, Sarune. Dawno się nie widzieliśmy.

Całe dwa miesiące, policzyłam w myślach. Okropnie długie dwa miesiące, w czasie których gorączkowo rozważałam, co takiego mogę mu powiedzieć. Nic nie wydawało się właściwe ani na tyle przekonujące, żebym sama zdołała w to uwierzyć.

Wpatrywałam się w jego duże, niebieskie oczy, nie mogąc wykrztusić nic sensownego. Przeklinałam się za tę słabość oraz fakt, że Rhianna miała zupełną rację. Anselm wyraźnie się mną interesował, a ja nie byłam w stanie przed tym uciec. Nie wiedziałam nawet, czy tego chcę.

– Witaj, Anselm – wydusiłam, bo tylko na tyle było mnie stać pod bystrym spojrzeniem jego oczu. Emanowały ciepłem i tańczyły w nich wesołe iskierki, przez co topniałam jak lód. Nie przypominałam sobie, by ostatnim razem wzbudzał we mnie aż takie sensacje. Długa rozłąka chyba musiała mi zaszkodzić. Albo Rhianna nieustannie przypominająca o tym, jak to pewien paladyn żywi do mnie słabość.

Anselm wyciągnął rękę, jakby chciał musnąć mój policzek albo przyciągnąć mnie bliżej. Na szczęście ograniczył się do odgarnięcia zbłąkanego pasma włosów, które lubił porównywać do światła poranka. Mrugnął porozumiewawczo, po czym odsunął się, dając mi trochę przestrzeni. Podziękowałabym mu już za sam ten ruch. Sytuacja była wystarczająco skomplikowana i bez matki przełożonej patrzącej na nas spod byka.

– Muszę iść, ale niedługo do ciebie zajrzę – rzucił na odchodne, dołączając do kompanów.

Jeden z paladynów poklepał go po ramieniu, ale Anselm strząsnął jego dłoń z gwałtownością, której nigdy u niego nie widywałam. Po chwili wszyscy podążyli śladem dowódcy, na plac otoczony niską zabudową całego klasztoru. To tam mieszkałyśmy. Nieco dalej, ponad naszymi kwatarami, górowała wieża kościoła, gdzie mieli wstęp wyłącznie wybrani. Niepokodni uważali, że po odwróceniu się od Pana Światła każdy przedstawiciel naszego ludu nosił w sobie skazę. Aby nie prowokować boskiego gniewu, modły w głównych świątyniach wznosiły osoby po stosownych święceniach. Wybrani, którzy pośredniczyli między maluczkimi a niegdyś zdradzonym bóstwem. W to zacne grono wliczały się przełożone klasztorów, Siostry Jutrzenki oraz matriarchini Enklawy Słońca. Zaś nam, akolitam, zostawały pomniejsze kaplice. W Cesaphere mieliśmy takie dwie: jedną bezpośrednio za murami klasztoru i drugą, znajdującą się poza zakonem, na uboczu wioski.

Rhianna precyzyjnie się przez tłum i zaczęła, łapiąc mnie za ramię. Tak zapatrzyłam się na odchodzącego Anselma, że nie zauważyłam, kiedy nadeszła. Prawie podskoczyłam.

Odwrociłam się, żeby zgromić przyjaciółkę wzrokiem, ale na widok jej ponurej miny znieruchomiałam.

– Berty nadal nie ma? – zagaiła cicho.

– Jak widać. Wiesz coś o tym? – spytałam, może nieco zbyt oschle, ale gdyby nie głupi wybryk Rhianny, zielarka nie mu-

siałaby udawać się w podróż. Chociaż nikt nie mówił tego na głos, domyślano się, kto stoi za zniknięciem Insomnium. Coraz częściej zerkano w stronę Rhianny i jedynie kwestią czasu było to, aż matka przełożona zakaże mi się z nią zadawać.

– Nie, ale... – Nachyliła się do mnie i szepnęła: – Pamiętasz te akolitki, na które mi się żaliłaś? I śniącą dziewczynę?

– Też mi pytanie. Nadal mam wyrzuty sumienia – mruknęłam, pocierając ramię. Nagle zrobiło mi się jakoś zimno. Może serum przestawało działać albo wszelkie ciepło uciekło ze mnie wraz z odejściem Anselma.

– Chyba jednak niepotrzebnie. – Rhianna zapatrzyła się w ziemię.

– Co masz na myśli? – Zniżyłam głos do szeptu. Tłum zaczął się rozchodzić, tylko akolitki wciąż stały w miejscu, przysłuchując się Alathej z uwagą. Chciałam dokończyć rozmowę i do nich pójść, ale Rhianna położyła mi dłoń na ramieniu.

– Ta dziewczyna, Tara... zaginęła.

Od słów przyjaciółki przeszły mnie dreszcze. Jeśli wcześniej było mi zimno, to teraz przemarzłam na kość. Zacinająca, szalona śnieżycy myśli bombardowała mnie, krążąc wokół możliwego wyjaśnienia. W tle rozbrzmiały płaczliwe głosy akolitek, które towarzyszyły Tarze w przeddzień zniknięcia. Opowiadały właśnie, że przestała pić serum i zaczęła doświadczać snów, a siostra Sarune nakryła je, kiedy o tym rozmawiały. Gdy twarz Alathej zwróciła się w moją stronę, wiedziałam już, że nie ma odwrotu.

– Podejrzewają Tkaczy – wtrąciła Rhianna. – Ostatnio widziało jednego w pobliżu wioski, a skoro dziewczyna miewała sny...

– Nie dołączysz do nas, Sarune? – Surowy głos matki przełożonej uderzył mnie jak trzaśnięcie bicia. Jeśli do tej pory nie wiedziałam, o co chodzi, dziwne zachowanie Rhianny oraz ściągnięte usta Alathej powiedziały mi wszystko.

Dziewczyna śniła, a ani ja, ani jej koleżanki nie wspomnialiśmy o tym słowem.

Czyli polowanie na czarownice czas zacząć.